

Włodzimierz Bolecki

Wyznania feministy (1)

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (37), 1-8

1996

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

1
1996

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Wyznania feministy (1)

Kiedy czytam polską krytykę feministyczną trudno mi uwierzyć, że stosuje się do niej teza sformułowana przez moją znakomitą koleżankę¹: o literaturze (a zatem i krytyce) „kobiecej można mówić wtedy, kiedy przedmiot utworu odstłoni swą płciowość, dokona seksualnej samoidentyfikacji”.

Co jak co, ale na „płciowość i seksualną samoidentyfikację” wskazują w tekstach uczonych badaczek jedynie ich nazwiska, a do tego, o ile wiem, teoria feminizmu zupełnie nie jest potrzebna...

Najbardziej mnie jednak zdumiało stwierdzenie, że to „p r z e d m i o t utworu” ma odstłonić swą płciowość. Domyślam się, że Grażynie Borkowskiej, znakomitej znawczynie przedmiotu, chodziło nie o „przedmiot” (to, o czym się mówi w utworze), lecz o „podmiot” (czyli o osobę, która mówi w utworze). Pomyłka to zaiste freudowska, bo przecież jednym z impulsów ożywiających feminizm była chęć ujawnienia i odkłamania mechanizmów kulturowych prowadzących do traktowania kobiety-osoby jako przedmiotu. A tu od razu, na początku — chciałyby się powiedzieć — „myślimy podmiot, a piszemy przedmiot”. Czyli: masz, bąbo, placek, ale to babka drożdżowa.

A może się mylę? Wszak zalecanie, by podmiot utworu „odstłonił swą płciowość” — nie da się tego ukryć — mogłoby wyglądać za bardzo frywolnie i chyba zbyt, powiedzmy, przesadnie. Co prawda, już wiek temu

1 G. Borkowska *Metafora drożdży. Co to jest literatura/poezja kobieca*, „Teksty Drugie” 1995 nr 3/4, numer monograficzny pt. *Feminizm po polsku*.

pewien pisarz, któremu zdawało się, że zna się na rzeczy, pisał: „płeć, a więc organ, którym kochamy, jest niezawista od mózgu”, ale raczej nie wiedział, co to jest mózg. Nie ufałbym więc „seksualnej” definicji „feminizmu po polsku”. Skąd bowiem pewność, że na przykład podmiot liryczny wiersza „Prośba”, który się odsłonił, a nawet rozebrał („Zrób coś, abym rozebrać się mogła jeszcze bardziej/Ostatni listek wstydu już dawno odrzuciłam”) jest kobietą?...

Kiedy więc czytam, że „tam, gdzie ujawnia się związek pomiędzy ciałem a tekstem, mamy do czynienia z przypadkiem literatury kobiecej”, to zastanawiam się, czy przypadkiem nie mamy tu do czynienia z wypadkiem przy pracy. Ostatecznie, ciało nie jedno ma imię. A poza tym: dlaczego z tego ciała dusza uleciała?...

Z kolei w poleceniu „dokonania seksualnej samoidentyfikacji” kryje się utajony, ale jednak przymus. Ostatecznie, z jakiej racji wymagać od kogoś seksualnej samoidentyfikacji? Zaczyna się od seksu, a kończy się na nacji — można by argumentować, prawie cytując.

Więc może jednak w definicji „feminizmu po polsku” specjalnie i rozmyślnie nie mówi się o „podmiocie”? Może jest dokładnie tak jak być powinno: chodziło o „przedmiot” i jest przedmiot.

Ale jeśli ma być w niej „przedmiot”, to co mam zrobić z tym fantem, który trzymam w ręku? Wiadomo przecież, i w „Tekstach Drugich” nie trzeba tego tłumaczyć, że żaden „przedmiot utworu” niczego nie odślania, natomiast, co wiadomo od Arystotelesa do Husserla, a nawet Derridy, przedmiot starannie wszystko zasłania. Zasłania np. inny przedmiot, a ten z kolei jeszcze inny, a już na pewno w literaturze przedmiot przedstawiony zasłania podmiot podstawiony.

Czyli: tak źle i tak nie dobrze.

Kto więc i co może odślaniać? Rzecz jasna, każdy może i co chce może — ale z dwóch wspomnianych możliwości odślaniania może warto wybrać trzecią? „Odślanianie płciowości” podmiotu i „seksualna identyfikacja” przedmiotu to w literaturze zadanie dla tych, którzy... o literaturze piszą. Czyli krytyków i krytyczek, recenzentek i recenzentów, badaczy i badaczek. A to już zupełnie inna płeć.

* * *

Gdy podczas konferencji poświęconej feminizmowi pewna krytyczka feministka mówiła o znanej feministycznej autorce, że jest bardzo „wybitnym pisarzem” i że jej książka jest świadectwem doświadczeń „człowieka rozdartego”, nie wierzyłem własnym uszom (a mam duże).

Feministka pisarzem?! To po co jecie tę żabę? — chciałem zakrzyknąć, ale zrezygnowałem z nadmiaru uczuć feministycznych i przestałem na rozpamiętywaniu...

Podczas międzynarodowego seminarium, w którym kiedyś uczestniczyłem, stwierdzenie prelegentki: „a writer”.... powitał zbiorowy okrzyk słuchaczek i słuchaczy: „she or he?”!!!

„She-writer”, odpowiedziała zawstydzona.

Ale siedzące obok mnie feministki nie ukrywały swej dezaprobaty.

* * *

Czytając niektóre publikacje feministek w „Tekstach Drugich” nie mogę się oprzeć wrażeniu emanującej z nich satysfakcji. Jest w nich, nie trudna do zauważenia, a i chyba przez autorki nieskrywana, duma płynąca z odkrycia nowej problematyki (mówiąc w skrócie: „ja seksualnego”) oraz możliwości nowego sposobu opisywania literatury i jej historii (co jest jeszcze do zrobienia). Rzecz to w nauce rzadka a przez wszystkich oczekiwana i pożądana. Jednym słowem, długo oczekiwane spełnienie, którego wszystkim trzeba życzyć a z każdego się cieszyć.

Ale nie mogę się też oprzeć wrażeniu, że „feminizm po polsku” dostarcza niekiedy więcej satysfakcji niż problemów, więcej radości niż kłopotów, więcej powodów do triumfu niż poczucia błędzenia, niepewności, wątpliść i rozczarowań.

Może się mylę, ale brak mi w „feminizmie po polsku” cechy, bez której feminizm jako feminizm nigdy by chyba nie zaistniał. „Feminizmowi po polsku” jak gdyby nic nie stawia oporu, jakby nie miał przeciwnika, jakby nie chciał niczego zwalczać i z nikim walczyć, jakby nie zamierzał wiedzy o literaturze polskiej zdemistyfikować, odkłamywać, zmieniać, reinterpretować, przewracać i przywracać, słowem — dekonstruować. Ten feminizm sprawia wrażenie jakby literaturę chciał jedynie opisywać, badać, analizować, interpretować, komentować. Temat jest powabny — nikt temu nie zaprzeczy — i feminizmowi ładnie w nim, a niekiedy nawet ślicznie, do twarzy. Ale chociaż ciało ciałem, a seksualność seksualnością, to jednak poza płcią „feminizm po polsku” mógłby chyba jeszcze coś więcej ...odstąpić?

Czyż bowiem „odstąpienie płciowości” nie okaże się w końcu odstąpieniem ... oczywistości?

Czy bardziej interesujące nie jest przypadkiem odstąpienie tego, co sama płciowość (nie przypadkiem) zasłania?...

Czy więc to, co kryje się za „płciowością” nie jest bardziej tajemnicze i frapujące, dramatyczne i skłębione niż ona sama?

Płeć płcią, różnica różnicą, ale człowiek rodzi się dzięki „jedności w wielości” i niezależnie od „seksualnej samoidentyfikacji” — jednością w wielości pozostaje.

Tajemnicą mitów, legend, podań, archetypów i wszelkich tekstów kultury jest nie tyle (i nie tylko) płeć człowieka — wyizolowana, odcedzona, oczyszczona, lecz on sam: w podwojeniu i zwielokrotnieniu, w połączeniu i zmieszaniu, w obojniactwie i sobowtórności, w identyczności różnic i w różnicach identyczności, w przyciąganiu odmienności i w odpychaniu podobieństw, czyli — w związku człowieka z człowiekiem. Amora i Psyche można interpretować poprzez „identyfikację seksualną” (rzecz w literaturze i w sztukach plastycznych dobrze znana i widziana), ale istota tego mitu jest przecież uniwersalna, erotyczna i miłosna, bo ... nie jedno-płciowa.

Feminizm może być odświeżającym ruchem w polskim literaturoznawstwie (a przynajmniej w krytyce literackiej) — o czym świadczą feministyczne teksty w „Tekstach Drugich”. Czy jednak nie pozostanie z niego zaledwie tematyczne hasło w słowniku terminów literackich — ulokowane gdzieś pomiędzy „Felietonem” a „Fenografią”?...

* * *

„Feminizmowi po polsku” — uwaga, teraz piszę już absolutnie poważnie! — brakuje chyba zainteresowania dla tego, co „ja feministycznemu” opór stawia. A może go nie stawia?

No cóż, rzecz jasna, to kwestia wzroku, może dotyku, zapewne ósmego zmysłu, a może i nawet gustu, ale zaryzykowałbym twierdzenie, że stawia. Słowem, opór stoi.

Gdzie stoi? W słowie i za słowem stoi. A także przed słowem i w międzysłowniu, w przedśłowiu i w postówiu, słowem, nie da się go zastonić żadnymi słowami, nawet Słowackim, u którego ani jedno słowo nie jest dosłowne nawet po słowacku. I im bardziej ten opór słowa nam się odslania, tym bardziej jest zastłonięty, tym bardziej jest niesłowny, odśłowny, przesłonięty, a nawet słoniowaty. Owszem, można go wziąć na słówka i półsłówka, można z nim być nawet po słowie, ale trudno powiedzieć, że to fraszka, igraszka, zabawka blaszana. Nikt przecież nie powiedział: „słowiarze, my lubim sielanki”, choć napisał pewien poeta czułe słówka: „lubię, kiedy kobieta...”.

Akt aktem, ale akt mowy słowem stoi.

* * *

Wgłębiając się w polszczyznę natrafiamy na zadziwiające zjawisko: oto słowo „mężczyzna” ma widoczną na pierwszy rzut oka końcówkę żeńską. Można by nawet powiedzieć, że jest to drugorzędna cecha płciowa tego wyrazu — coś na kształt mężczyzny z piersiami.

Nasunęło mi to podejrzenie, że polszczyzna ma zachwianą identyfikację seksualną: zdarza się, że o mężczyznach mówi się tak, jakby chodziło o kobiety lub inaczej: w semantyce męskości co krok natykamy się na ukrytą kobiecość. Niby coś jest męskie, a okazuje się podszyte kobiecością.

Cóż to za temat dla feministek!!!

Zupełnie inaczej jest w języku angielskim, w którym męskość to zaledwie końcówka, dodatek doczepiony do kobiecości. Pierwszy z brzegu przykład: słowo „woman”, czyli kobieta. Dokonując podziału na „wo-man” łatwo zauważymy, że „man” (mężczyzna, człowiek) jest tu umiejscowiony jakby na doczepkę.

Z drugiej jednak strony, okazuje się, że to, co na wierzchu jest kobietą („woman”) po rozebraniu okazuje się w swym podstawowym rdzeniu ... mężczyzną („man”). Czyli dokładnie odwrotnie niż w polszczyźnie! Niektórzy językoznawcy przypuszczają, że angielski zachował tu pamięć o swoim saksońskim pochodzeniu i dwie pierwsze litery w słowie „woman” to dzisiejsze niemieckie „wo”, czyli „gdzie”. Ta historyczna etymologia pozwala nam z d e k o n s t r u o w a ć angielski sens słowa „kobieta”, tzn. „tam kobieta, g d z i e mężczyzna”, czyli odwrotnie niż w polszczyźnie, co zresztą potwierdza stare ludowe przysłowie, gdzie diabeł (nie żadna diablica!) nie może, tam babę pośle.

Po polsku rozbiera się „mężczyznę” i już na pierwszy rzut oka widać, że to forma żeńska. Na szczęście po polsku „kobieta” to kobieta — i nie ma w niej ani śladu męskości.

Pozostajmy więc przy polszczyźnie (inne języki wezmę na słówka przy okazji).

„Mężczyzna” nie jest w polszczyźnie wyjątkiem. Nawet inny mężczyzna to także „kolega”. Oto więc kilka lingwistycznych dowodów, że w polskiej męskości skryta jest kobiecość, słowem, że jej samoidentyfikacja seksualna jest tak głęboko stłumiona, że aż niezauważalna, czyli — bez odstąpienia — po prostu niemożliwa. Interpretację skrywania i odstania, mylnych identyfikacji i prawdziwych stłumień zostawiam jednak także na inną okazję.

Mówimy na przykład „tapicer”, jakkolwiek powszechnie wiadomo, że chodzi o mężczyznę, czyli że poprawna forma powinna brzmieć „ten picer”! Trudno jednak twierdzić, że „ta picer” to kobieta, której zawód wykonuje, a raczej okupuje, mężczyzna. Jeśli więc chodzi o przedmiot, to rzecz jasna, kim innym jest „ten picer”, a kimś zupełnie innym „ta picerka”. Czyli, jeśli chodzi o podmiot, to sprawa jest bezprzedmiotowa.

Drobny mebel służący do siedzenia nosi po polsku nazwę „taboret”, choć jest oczywiste, że chodzi o „ten boret”. Łatwo to sprawdzić na przykładzie słowa „tabor”, którego męskość jest niekwestionowana, więc powinniśmy, teoretycznie, mówić „ten bor”, tak samo jak mówimy „ten bór”.

Im dalej w las, tym więcej drzew. Oto „taran”. „Ta ran”? Może, co prawda, istnieć forma „ta rana”, wszak mówimy: „do rany przytóż”, ale nigdy nie „ta ran”! Forma męska: „ten ran” (w wymowie niepoprawnej: „tʳan”).

„Taniec” jest przykładem szczególnym, bo przecież, jak powszechnie wiadomo, taniec to czynność identyfikowana z dwiema osobami płci przeciwnej. Rzecz jasna, tańczyć może osobno kobieta i mężczyzna, a nawet zdarza się, że tańczą kobiety z kobietami (np. Świdryga z Midrygą), a mężczyźni z mężczyznami. Jednak w mistrzostwach świata w parach sportowych para to para, a „taniec” to taniec. To rozstrzyga, a nawet, powiedziałbym, to zobowiązuje. Tancerka mówi więc np. „mój taniec”, ale — rzecz charakterystyczna — tak samo mówi mężczyzna! Zatem nie „taniec”, lecz „teniec”. Mężczyznom nie trzeba tego tłumaczyć, a dla kobiet to oczywiste.

No cóż, Jan Brzechwa w znanym wierszu dla dzieci nie rozstrzygnął problemu czy talerz stoi czy leży, co niewątpliwie bardzo by mi pomogło w kolejnej eksplikacji, ale być może to rozstrzygnięcie okazałoby się zawodne. Jak szalenie zdradliwe jest życie! Jakże wszystko zawsze trzeba przewidywać! Jak bezustannie wszystko należy brać pod uwagę w kalkulacji! Więc nie wiadomo, czy „talerz” stoi czy leży, co pozwala nam przypuszczać, że stoi leżąc lub leży stojąc, czyli że obie formy są możliwe, a nawet głęboko dopuszczalne! Mówimy zatem „talerz”, ale, rzecz oczywista, wiemy, że chodzi o „tenlerz”. Skoro jednak idzie o „ten lerz”, to poprawnie należałoby napisać „ten leż”, jako że droga od „talerza” do „leża” potwierdzona jest w przysłowiu „przez żołądek do serca”. A przysłowia są mądrością narodu.

Oto „tapczan”. Każdy, kto wie, o co chodzi, wie, że o „ten pczan” się rozchodzi.

Sam „talent”, jak wiadomo, nie wystarczy. I ja się z tym zgadzam. „Talentowi” potrzebna jest jeszcze „praca”, a praca — przepraszam, że piszę o oczywistościach — to „ta praca” a nie „ten prac”. Mamy zatem parę: „praca” i „talent”, czyli „ta praca” i „ten lent”.

„Talon” to przykład banalny. Wiadomo, że „tenlon” królował w czasach komunistycznych, bo wszystko było na „tenlony”. A dawała (ta) partia.

Zastanawiam się, czy „talizman” wymaga dokładniejszych analiz. Być może, ale zostawiam to na inną okazję. Już na pierwszy rzut oka widać, że chodzi o „ten lizman”.

„Tamaryszek.” No cóż, jeśli krzew, to „ten maryszek”.

„Tendencja.” Nie ma co się rozwodzić, choć, wbrew purystom, istnieje taka tendencja. Krótko: „tandencja”.

„Tajemniczy.” Nie jest żadną tajemnicą, że istnieje forma „tajemnicza”, ale gdy chodzi o sprawy męskie, mówimy „ten jemniczy”. Podobnie „taktowny” jest męski jako „tenktowny”.

„Taras.” Po prostu „ten ras”, ale — uwaga! — „ta rasa”. Podobnie „ten wat”, ale „ta wata”. Nic dodać, nic ująć.

„Tercyna” to oczywiście „tarcyna”. Mówimy przecież „tarczyca”, a nie „terczyca”, „terkot”, a nie „tarkot”, chociaż upowszechniła się zaburzona identyfikacja płciowa w formie „tarot”, czyli „tenrot”. Męskości tej ostatniej dowodzi choćby określenie w tytule powieści Manueli Gretkowskiej: „paryski” a nie „paryska”. Paryska może być „ta rota”, ale nie „tenrot”.

Mówimy „uniwersytet”, a myślimy „szkoła”. Mówimy „PAN”, a myślimy „akademia”.

Niektóre zaburzenia identyfikacji seksualnej są nieistotne dla sprawy, nie ma więc potrzeby mnożyć ich ponad potrzebę. Wiadomo, że „teoria” to „taoria”, „topola” to „tapola”, a „tygryśca” to „tagryśca”. Albo, co gorzej, tamta.

„Mysz”, jak wiadomo, dla każdego jest kobietą. W przeciwieństwie do kaczora, który jest ten.

Interesujące formy to „wojewoda”, „wielomoża”, „szuja” i „kanalia”, które z wyglądu przypominają formy żeńskie, ale których zastosowanie jest wyłącznie męskie.

Podobnie „morderca” naśladuje w kształtach „kobietę”, a przecież wiadomo, że to potworny facet. A „morda”? — też wiadomo: chodzi o mężczyznę, bo mord jest jednoznacznie męski.

Interesujące są formy żeńskie, za którymi, co nie jeden raz było podno-

szone, stoją prawie wyłącznie mężczyźni, np. „wojna”, „waluta”, „władza”, a nawet „szlachta”. „Nie rznij szlachty!” — ostrzegał Słowacki. Warto też zwrócić uwagę na imiona (nazwiska, bez urazy, muszę jednak pominąć).

Oto dobrze nam znane imię Tadeusz. Mickiewicz napisał nawet poemat narodowe pt. „Pan Tadeusz”. Dlaczego jednak genialny poeta dodał w tytule „Pan”? Czyżby sam „Tadeusz” mu nie wystarczał? Mickiewicz znał przecież takie tytuły jak np. „Hamlet”, a nie „Pan Hamlet”, „Makbet”, a nie „Pan Makbet”, „Pieśń o Rolandzie”, a nie „o panu Rolandzie”, etc. Otoż nie ulega wątpliwości, że Mickiewicz chciał uniknąć wątpliwości, jakie mogłyby się wiązać z niejasnym statusem płciowości w imieniu „Ta-deusz”, zaczynającym się wszak od wskaźnika żeńskości „ta”. Notabene etymologicznie „Tadeusz” wywodzi się z aramejskiego, w którym oznacza „osobę o szerokiej piersi”. Forma w pełni męska powinna więc w tym tytule brzmieć „Tendeusz”, ale język płata figle, więc Mickiewicz musiał napisać „Pan Tadeusz” i dlatego dziś powszechnie wiadomo, że „ta” to „ten”.

Ma to dla krytyki feministycznej pewne konsekwencje, bo jeśli „Tendeusz”, to nie „Telimena”, lecz „Talimena”, czyli nie „Temida”, lecz „Tumida”, itd.

A przy okazji: piszemy „Tebaida”, a mówimy „ta bajda”.

Cóż na koniec tego wstępu?

„Przemoc” i „siła” są po polsku żeńskie, natomiast „terror” i „gwałt” są męskie. „Mózg” jest męski, ale za to „głowa” żeńska, czyli mówiąc po prostu: „mądrość” jest żeńska, męski jest tylko „pomyślunek”.

„Język” co prawda jest męski, za to „polszczyzna” jest kobieca. Co prawda, to prawda, ale czy to prawda?

Boileau uważał, że piękna jest tylko prawda. Trudno mu się dziwić, skoro już Horacy zauważył, że prawda jest naga.

Czyż jednak nie dla piękna została owinięta w bawełnę?

Włodzimierz Bolecki